

Piotr Nazarkiewicz

### Otchłań

Maszerowaliśmy już od osiemnastu dni. Racje żywnościowe były zbyt małe, karabin z dnia na dzień stawał się coraz cięższy, średnio co cztery dni kula wroga przeszywała ciało jednego z naszych. Dziewiętnastego dnia, koło południa dowódca zarządził odpoczynek. Miejsce, w którym się zatrzymaliśmy, znajdowało się nad jeziorem. Horyzont kończył się lasem, do którego mieliśmy wkroczyć tuż przed zachodem słońca. Odpoczynek trwał dwa razy dłużej i każdy z nas dostał podwójne porcje żywności. Dowódca powiedział, że przemarsz przez las będzie najdłuższym ze wszystkich do tej pory. To wzbudziło w nas lęk, lęk przed ciemnym labiryntem, gdzie na każdym kroku czeka zło.

Słońce zaczęło zachodzić, a my dopiero zbliżaliśmy się do lasu. Mieliśmy opóźnienie, na twarzy dowódcy widać było zdenerwowanie. Im ciemniej się robiło i im bliżej byliśmy lasu, tym cichsze stawały się rozmowy, śpiewy, narzekania.

Wkroczyliśmy do lasu, żołnierze nagle zamilkli. Mrok potęgował ponure dźwięki, echo niosło po lesie odgłos naszych kroków. Mgła była tak gęsta, że przysłaniała korony drzew. Droga, która prowadziła przez las, była jak otchłań pochłaniająca wszystko, co się do niej zbliży.

Mgła nagle opadła, las już tak nie trwożył. Sytuacja zaczęła przypominać spokojny sen dziecka u boku matki. Żołnierze lekko przygarbieni od ciężaru broni szli naprzód odważnym krokiem, jak gdyby na końcu drogi czekało wybawienie. Księżyc swoim blaskiem poszerzył pole widzenia.

Świt był już blisko, las został za plecami. Udało się, tej nocy nikt nie zginął, nikt nie został ranny, żadnej matce nie pękło serce.

Wraz ze świtem nadszedł kolejny niepokój, z dala było słycać odgłosy wojny. Pogoda nie wydała z siebie tchu życia, było tylko duszno. Wśród nas, żołnierzy, zapanowała zupełna cisza. Cisza, która zwiastuje burzę. Pochłonęła nas otchłań, z której nie ma powrotu.